

Kosik Rafał

Plan kapitana Hackwortha

Z oficjalnej strony internetowej autora

Wszystko wskazywało na to, że w roku 2009 nie napiszę żadnego opowiadania, w końcu popełniłem dwie solidne powieści i napocząłem trzecią. Stan ten utrzymałby się, gdyby nie Tandi, która podstępnie wykorzystala mój specyficzny stan umysłu po otrzymaniu nagrody Zajdla i wymogła na mnie obietnicę, że napiszę opowiadanie do informatora konwentowego. Po kolejnym przypomnieniu, potraktowałem temat poważnie i napisałem to oto nieco niepoważne opowiadanie osadzone w realiach steampunkowych. Umieszczam je tutaj dla tych, którzy nie mogli być na Norconie i nie mają dostępu do informatora. Mam świadomość tego, że ktoś, kto nie był nigdy na tym konwencie, nie załapie większości aluzji, drobnych żarcików i delikatnych docinków. Tytułem wstępu powiem tylko, że Nordcon od lat odbywa się w Jastrzębiej Górze. Początkowo gościł w hotelu „Hutnik”, a kilka lat temu przeniósł się do hotelu „Drejk”. „Drejk” w tym roku zmienił nazwę na „Primavera”.

W miejscach gdzie dłonie kapitana Williama Hackwortha zaciskały się na relingu mostka, mosiądz był pozbawiony śniezi i wypolerowany. W nerwowym oczekiwaniu przed ważnymi wydarzeniami, których nadejścia nie sposób było przyspieszyć, kapitan stawał tu, opierał się o reling i w zamyśleniu pocierał metalową rurę. A powodów ku temu było ostatnio wiele.

Padający śnieg tu nie docierał, metalowy kadłub nad gondolą sterowania zastępował dach. Lodowaty wieczorny wiatr szarpał brodę kapitana i zdawał się przenikać płaszcz z foczej skóry. Trzysta stóp poniżej pobłyskiwało neonami i światłami gazowych latarni Hawkhill, miasto portowe o wielce podejrzaną reputacją. Wprawdzie reputacja kapitana i ćepelina HMS „Drake”, którym dowodził, również nie była wiele warta, ale rejs, w który statek powietrzny miał za kilka godzin wyruszyć, wskazywał na chęć poprawy tejże.

Kapitan uznał wreszcie, że zmarzył wystarczająco, by jego myśli przestały krążyć wokół dziesiątek spraw dzisiejszego wieczora; spraw, które mogą się rypnąć w każdej chwili, zamieniając genialny plan w absolutną kompromitację, a może i zupełnie zwyczajne aresztowanie. Rzucił ostatnie spojrzenie na zbliżające się wieże dokujące i wrócił do ciepłego wnętrza. Kapitańskie wejście na mostek nie zrobiło wielkiego wrażenia na podwładnych. Dopiero kiedy spojrzał na nich groźnie i chrząknął znacząco, wyprężyli się i zasalutowali.

– Zapominamy się, szefie – wyjaśnił Wilkinson, zabójczo przystojny pierwszy oficer.

– Nie „zapominamy się szefie” – skarcił go Hackworth, zdejmując z łysej glacy kapitańską czapkę i rozpinając płaszcz – tylko...?

– Yes, sir!

– I tego się trzymajmy. – Kapitan odwiesił płaszcz na oparcie wielkiego fotela, przyglądził brodę i pociągnął z piersiówki, spoczywającej dotąd w kieszeni wymiętego munduru, solidny łyk dziewięćdziesięcioprocentowego mixu własnej produkcji. Niecierpliwym gestem przepędził sternika z jego fotela i zasiadł tam ze stęknieniem, by osobiście przeprowadzić procedurę dokowania. Roztarł zmarznięte dłonie, przymierzył się do pięknie wyprofilowanych, smukłych dźwigni sterujących. W ostatniej chwili zrezygnował i ponownie pociągnął łyk. Dokowanie na trzeźwo było zbyt wielkim ryzykiem, a kapitan William Hackworth trzeźwiało ostatnio szybko i niespodziewanie dla samego siebie. Niemiłe doświadczenie. Pchnął mosiężną dźwignię. Syknęła sprężona para i całe stanowisko sternicze, wraz z baterią zegarów, pokręteł i ciągnął, przesunęło się do przodu, ciągnąc za sobą kilkanaście różnej grubości elastycznych przewodów układu nerwowego ćepelina. Fotel sternika, piękna konstrukcja ze skóry, mosiądzu, chromu i

stali, znalazł się wewnątrz wypukłości w przeszklonym froncie mostka, skąd doskonale widać było cel - oplecioną rurami konstrukcję wysoką na niemal sto stóp, zwieńczoną elastycznym pierścieniem cumującym, wyglądającym trochę jak powiększona stukrotnie końcówka węża strażackiego. W miarę zbliżania się, przewody i wzmocnienia nadawały jej podobieństwo naprężonego ramienia atlety, z nabrzmiałymi żyłami.

– Sygnalista? – zapytał kapitan.

– Gotowy jak sztywny chuj, szefie – odparł chłopak

– Yes, sir, idioto – poprawił go Pierwszy.

– Yes, sir! – wrzasnął z podwójną energią sygnalista. – Gotów do sygnalizacji.

– Przyciemnić lampy! – rozkazał kapitan. Posłusznie skrecono lampy naftowe.

Trochę ciasno. Większość z kilkudziesięciu wież cumowniczych postawiono tu jeszcze w czasach, gdy produkowano dwukrotnie mniejsze ćepeliny. Teraz nad Hawkhill wisiał ponad tuzin maszyn, a światła co najmniej dwu następnych majaczyły już za śnieżnymi firankami. Wciśnięcie się tu przy takim wietrze i kiepskiej widoczności nie było prostą sprawą.

– Bierzemy trzecią. – Kapitan wskazał w dół. – Dajmy zarobić chłopakom. Umyli pierścień. Stąd widać, błyszczą jak psu jajca.

Sygnalista już otwierał usta, żeby potwierdzić. Zrezygnował jednak i tylko strzelił zapalniczką, by włączyć gazową latarnię sygnalizacyjną. Przez kilka następnych chwil słychać było szybkie klikanie przesłony. Obsługa wieży radośnie odmrugała zgodę na dokowanie i włączyła naprowadzanie. Układ błyskających metalowymi łopatomisprężonych wiatraków sprawdzał siłę i kierunek wiatru na różnych wysokościach, analizował go prostym kalkulatorem mechanicznym, którego wirujące koła zębate widać było nawet z tej odległości, i ustawiał kolimator pod kątem zapewniającym optymalne podejście.

Kapitan chwycił dwa wolanty z giętego i prasowanego mosiądzu, stopy wsunął w skórzane strzemiona i zlustrował wzrokiem ozdobne zegary manometrów, wiatromierzy, barometrów i całej reszty.

– Zaczynamy – rzucił.

Na mostku rozpoczęło się coś, co z boku mogło wyglądać na chaotyczną bieżnię. W rzeczywistości było jednak przykładem bardzo sprawnego działania zespołowego. Przepompowywano balast, zwiększano ciśnienie w instalacji turbin kierujących. Czyli wykonywano całą masę czynności niezbędnych do tego, by HMS „Drake” nie rozbił się przy dokowaniu.

Gdy kilka minut później siłowniki parowe zamknęły żeliwne, zdobne rzeźbionymi liśćmi akantu i smoczymi łuskami szpony na pierścieniu pod gondolą, kapitan wypuścił z rąk stery i odetchnął z ulgą. Długi na dwieście stóp kadłub ćepelina zatrzymał się na dobre i bujał łagodnie na wietrze, na tyle, na ile pozwalało mu elastyczne łożysko sprzęgu. Dopiero teraz otwarto zawory na przewodach doprowadzających wodę i olej skalny do zbiorników „Drake’a”. Stanowisko sternicze powróciło z sykiem na swe zwykłe miejsce. Kapitan poczuł, że niebezpiecznie trzeźwieje. Wstał, pociągnął solidny łyk z piersiówki.

– Ma się te zdolności manualne, nie? Pamiętajcie, co robicie? – Powiódł groźnym wzrokiem po załodze.

– Jasne, szefie – przytaknął Pierwszy i od razu klepnął się w czoło, aż klasnęło. – Znaczy, yes, szefie.

Hackworth przymknął oczy, oparł się ciężko o żyroskopas. Chwilę patrzył w tykający i cykający mechanizm, w którym sprężyny, wirujące mosiężne koła zamachowe i delikatne trybiki nigdy nie przerywały pracy. Potem odwrócił się do reszty.

– Wiecie, ile zależy od dzisiejszego wieczora – stwierdził. – Goście muszą zostać potraktowani... elegancko. Nikt nie może mieć choćby cienia podejrzeń, że coś tu nie gra. Te pieniądze są nam potrzebne. Nie, źle mówię, te pieniądze są nam kurewsko potrzebne. Wszyscy muszą myśleć, że jesteśmy statkiem konferencyjnym i że nigdy nie było inaczej. To wymaga również zachowania pieprzonej etykiety. I pierdzielonej dyskrecji. Nadążacie?

Patrzyli na niego z niewyraźnymi minami.

– To chyba ponad nasze siły, szefie... – Sternik rozłożył ręce. – Jakoś tak przez lata się przyzwyczailiśmy...

Kapitan pokręcił głową z rezygnacją.

– Przynajmniej przy ludziach się pilnujcie – jęknął słabo. – Pierwszy, przejmij mostek. Niech ktoś przypomni Sawyerowi, że ma wycinać szablon. Idę się napić, bo na trzeźwo tego zwierzyńca nie zdzierzę.

* * *

Hackworth w wyprasowanym mundurze witał gości w owalnym hallu recepcyjnym, usytuowanym na drugim poziomie gondoli, i czuł się jak pajac. Tu mieściła się górna stacja windy kursującej wewnątrz

elastycznego sprzęgu. Co chwilę z sykiem i zgrzytem podjeżdżała ozdobiona pospiesznie secesyjnymi ornamentami kabina, otwierały się zakratowane mosiężnym bluszczem drzwi i do niewielkiego wnętrza wkraczały rozbawione postacie, które oczywiście już wcześniej, na ziemi, rozpoczęły tę swoją konferencję. Czyli popijawę.

Dwóch mechaników, teraz poprzebieranych za stewardów, roznosiło walizki do kajut. Recepcjonista, w postaci ogolonego i wykąpanego (po ostrej awanturze) bosmana Landa, z uśmiechem inkasował należną sumę i podsuwał wszystkim oprawioną w zielony aksamit księgę gości. Cała ta heca nie zwalniała Hackwortha z konieczności uśmiechania się i powitania z atencją każdego konferencjusza. Coraz mniej wierzył jednak w to, że cokolwiek wynagrodzi mu takie poniżenia. Inwestycja musiała się szybko zwrócić - podzielili ładownię na wiele maleńkich kajut z umywalkami, wycięli okna, i w ogóle zrobili kupę praco- i pieniężno-chłonnych rzeczy. Pożałowali jedynie na kibelki - po prostu wyszorowali stare. Teraz kapitan nie mógł się oprzeć wrażeniu, że ta oszczędność się na nich zemści, ale było już za późno, by to zmienić.

- Witam szanowną panią. - Wyszczrzył się po raz kolejny, uściśnął kolejną dłoń. - Witam szanownego pana.

Z kobietami było trudniej. Hackworth nie był mistrzem savoir vivre'u, który w branży przemysłowej mógł tylko zaszkodzić. Do tego te wszystkie cholerne zmiany kulturowe. Część kobiet wymagała całowania w dłoń, podczas kiedy inne się za to obrażały. Większość chciała być traktowana jak damy, niektóre - tak samo jak faceci, a jeszcze inne - niczym święte krowy. No i oczywiście żadna nie miała wypisanego na czole, do której grupy należy.

Gdy pojawiła się blond piękność w wydekoltowanej do granic przyzwoitości (a nawet ją przekraczającej) czerwonej sukni z obfitą tiurniurą, kapitan poczuł od razu, że należy ona do czwartej grupy. Tej najgorszej. Była to bowiem grupa, której cechą wspólną był wpływ, jaki te baby miały na Wilkinsona. Pierwszy zwyczajnie nie mógł się im oprzeć, a co więcej, w ich obecności stawał się niepohamowanie szczery i nadzwyczaj wylewny. Jednak będą kłopoty, pomyślał kapitan. Tego się można było spodziewać. Konferencja wielbicieli literatury - już samo to źle brzmiało. Na domiar złego była to literatura fantastyczna, a co więcej, jakiś jej podgatunek, zwany dieselpunk. Hackworth myślał, że ludzie dzielą się na tych normalnych oraz na dziwaków, którzy czytają książki. Widać było to bardziej skomplikowane.

- To już wszyscy.

Kapitan potrzebował kilku chwil, by zrozumieć, co mówi do niego bosman. Wszyscy? Koniec? Poważnie? Land pokazał mu dowód w postaci książki wypełnionej podpisami w rubrykach wszystkich zapowiadanych gości. Sprawdził imię piękności w czerwieni, nazywała się Sonya, i uznał, że wystarczy tej poruty.

- Ogarnij to tutaj i zobacz, jak idzie na górze. Wpadnę na otwarcie, ale teraz muszę się napić.

Już się odwracał, już chwycił za klamkę, gdy dzwonek windy osadził go w miejscu. Ktoś jeszcze przybywał z dołu.

- Zapłaciłeś za parking? - Kapitan spojrzał podejrzliwie na bosmana.

- Jasne, szefie... sir. Zatrzymać windę?

- Lepiej nie. Nie wiadomo, kto to. Jeśli będzie z urzędu skarbowego... - ... to spijemy go w trupa i wyrzucimy do morza.

Eso-floresowata krata rozsunała się i do recepcji wparował niski i chudy człowieczek w płaszczu i czarnym cylindrze. Małe oczka rzucały szybkie spojrzenia. Hackworth mógłby przysiąc, że tamten policzył już wszystkie nity w ładzie recepcji.

- Hipolit Mostowski - przedstawił się gość. - Na konferencję.

Z wewnętrznej kieszeni wyjął zaproszenie. Bosman przyjrzał się uważnie kartonikowi ze złoceniami i tłoceniami. No cóż, zaproszenie wyglądało na prawdziwe. Nie pozostało mu więc nic innego, jak tylko wpisać do książki gości nadprogramowego konferencjusza. Ponieważ obaj fałszywi stewardzi zeszli już do maszynowni, recepcjonista musiał sam zaprowadzić gościa do pokoju. Przedtem jeszcze odesłał windę i zablokował dźwig. Kapitan skrzył lampę do zera, upewnił się, że knot zgasł i udał do kajuty, gdzie od razu wałnął pół szklanki Whiteslope Hooch.

Pokrętna ta rzeczywistość konferencyjna. Już myślał, że wszystko gra, gdy napatoczyła się baba z czwartej grupy i ten... szpicel. Płaszczak był szpiclem, co do tego Hackworth nie miał wątpliwości. Tylko czym? Znów te złe przecucia. Niby był to inny rodzaj przecucia niż to, które towarzyszyło mu podczas lotów między skałami Afganistanu czy pod ostrzałem w Indonezji, lecz równie nieprzyjemny.

Sączył Whiteslope Hooch i próbował w myślach powtarzać treść przemówienia, które kwadrans po starcie miał wygłosić na otwarciu konferencji. Brrr... Przemysł był bardziej przewidywalny, ale niestety koniunktura przeminęła. Przecież nikt nie będzie przemycił dzid do Afryki.

Bulaj wychodził na dzielnicę uciech. Kapitan spojrzał tęsknie na czerwone światelka - cóż, może następnym razem. Wychylił szklanę do dna i ruszył do drzwi.

* * *

Brawa trwały tylko tyle, ile wymagała uprzejmość. Sam kapitan przyjął to zresztą z ulgą. Żadnych pytań, żadnych wątpliwości. I oby tak dalej, bo tu się mogło naprawdę mnóstwo rzeczy rypanąć. Załoga miała wiele do ukrycia. Wiszące na ścianach dyplomy, za zasługi w roli szpitala polowego, były oczywiście fałszywe. Jeżeli gdzieś toczyła się wojna, to HMS „Drake” dążył tam tylko po to, by przemycać co się dało. Teraz wszystkie ważniejsze wojny toczyły się w rejonach tak biednych, że trudno byłoby tam opchnąć nawet kapiszony.

Historia samego HMS „Drake” zaczynała się zupełnie niechlubnie. Huta, w której został wyprodukowany, nigdy nie zobaczyła pieniędzy za swoją pracę, a gotowy céppelin, dzięki nieuwadze pijanego ciecica, umknął pod zmienioną nazwą na drugi koniec świata. Nazwa nie była więc oryginalna. Aha, „HMS” też było fałszywe, ponieważ królowa Victoria VII nie miała pojęcia o istnieniu tego okrętu. No, chyba że czytała raporty MI6.

Kapitan zlustrował salę czujnym spojrzeniem. Wilkinson przy barze udawał przed kilkoma konferencjuszami właściciela „Drake’a”, co było jak najbardziej zgodne z planem. Czerwona Sonya, zajęta rozmową, stała za filarem. Spotkanie tych dwojga było tylko kwestią czasu.

Obok pojawił się pomocnik mechanika, Thomas Sawyer, piegowaty jak indyjskie jajo chudy i rudy chłopak, którego zdolności poprawnej komunikacji interpersonalnej kończyły się na personalizowaniu osprzętu turbiny parowej.

– Szefie – zaczął i od razu szybko się poprawił – To znaczy yes, sir. Mamy mały problem w maszynowni.

Kilku gości czujnie nadstawiło uszu. Oby tylko nie poznali w mechaniku stewarda, który godzinę temu przyjmował od nich bagaże. Kapitan przytrzymał go za łokieć i odciągnął pod ścianę, cały czas uśmiechając się do konferencjuszy.

– Czy to było dyskretne? – wyszeptał ze złością.

Chłopak zastanowił się.

– Ja wiem...? W sumie to nie krzyczałem.

– Mów, co się dzieje.

– Spada ciśnienie na głównej turbinie.

– Co? – Kapitan uniósł brwi.

– Spada ciśnienie na głównej turbinie – powtórzył głośniej Sawyer.

Hackworth uniósł dłonie, jakby chciał chłopaka udusić. Gapiło się na nich już z dziesięć osób.

– Wracaj do maszynowni, idioto – syknął kapitan – i nie przychodź tu. Jak coś się będzie działo, użyj wzywacza – klepnął ozdobną broszę z czerwonym kamieniem. – I szablon wycinaj!

Speszony Sawyer odwrócił się i odszedł. Z pewnością nie rozumiał, czym zawinił.

– Co się dzieje z turbiną?

– Nic! – odparł szybko kapitan, odwracając się. Za nim stała czerwona Sonya z kieliszkiem szampana w dłoni. Kapitan mrugnął i dostrzegł, że kieliszek szampana tak naprawdę jest butelką piwa. Nie dość, że piła piwo, to jeszcze robiła to analogowo, prosto z butelki. W dodatku dziewczyna należała do prawdziwych piękności, ale kapitan był odporny na działanie czwartej grupy. Mógł mieć na to wpływ głupawy kapelutek nasadzony na czubek misternie upiętych jasnych loków.

– Słyszałam, że coś się z nią dzieje – wyjaśniła wobec braku zadowolającej odpowiedzi.

– Spada ciśnienie, ale to nic wielkiego – zbagatelizował Hackworth. – Ciśnienie ma to do siebie, że spada i wzrasta. Inaczej nie byłoby potrzeby dokonywania pomiarów, he, he.

– Aha. – Sonya pokiwała głową. Pociągnęła łyk szampana, to jest - piwa, i przekrzywiła uroczo głowę. – A po co to ciśnienie?

– Napędza turbiny sprzężone ze śmigłami.

– A one unoszą nas w górę, tak?

– To rozwiązanie stosowano na początku rozwoju ólotnictwa. – Hackworth przyłapał się na mimowolnym gładzeniu brody i przeszło mu przez myśl, że sam nie jest do końca odporny na działanie czwartej grupy. – Było to bardzo nieekonomiczne. Stosowane obecnie we wszystkich nowoczesnych céppelinach rozwiązanie polega na czymś odwrotnym. Turbiny parowe i te, no, śmigła, spychają statek ku ziemi, sam statek bowiem, łączenie z pasażerami, zapasami i całym tym szaj... sprzętem jest lżejszy od powietrza. A to dzięki ómetalowi.

– O, to bardzo ciekawe. – Sonya wydudliła trzy łyki i przysunęła się bliżej, podsuwając mu niemal pod nos swój jędrny biust, wychylający się kusząco zza koronek okalających dekolt. – Opowie mi pan, panie kapitanie, coś o tym ćmetal?

Kapitan zerknął na jej talię osy, potem na siebie - w lustro i wciągnął brzuch. W odbiciu dostrzegł również Wilkinsona, który porzucił konferencjuszy i uważnie ich obserwował.

– Coś tam mogę opowiedzieć. – Przesunął się tak, by lepiej zasłonić blond piękność, co tamta odebrała chyba jako poufałość, bo sama przysunęła się jeszcze bliżej. Kapitan zerknął bezwiednie między koronki i odpiął złoty guzik przy kołnierzyku munduru. – Przeszło trzydzieści lat temu Jack Stammer wynalazł metodę pozyskiwania ćmetal, czyli metalu o ujemnej masie. W młodości był człowiekiem mało zdecydowanym i bardzo często przy podejmowaniu decyzji pomagał sobie, rzucając monetą. Wkrótce zauważył, że jego ulubiona moneta, używana niemal bez przerwy, nawet w przypadku wyborów tak banalnych jak „kawa czy herbata”, zaczyna opadać coraz wolniej. Metal tracił masę, i to nie w wyniku procesu ścierania. Wyjaśnienie tego zjawiska jest nudne i skomplikowane, pozwoli więc pani, że je pomnę. Dość, że po określonej liczbie podrzuceń dokonanych w odpowiednich warunkach i w odpowiedni sposób, metal przestawał opadać, stawał się ćmetalem. Nazwa wzięła się stąd, że w wyniku pierwszych prób powstał metal lekki jak ćma. Metoda udoskonalona w laboratoriach Ćmnogrodu w Europie Wschodniej doprowadziła do dalszego zmniejszenia masy, wpraw do zera, a potem do wartości ujemnych. Ostatecznie Stammer zbił na swoim wynalazku fortunę, ale z niej nie skorzystał. Kiedy pewnego dnia wszedł bowiem do swojego skarbcza, nie zdołał się oprzeć dawnemu nawykowi. Cieszył się tym swoim bogactwem i nagle zauważył, że nie może się zdecydować, czy się nadal cieszyć, czy już iść na kolację. Zaczął podrzucać monety i sprawdzać, co wychodzi. Orzełek miał oznaczać, że wystarczy tej radości i pora coś zjeść. A miał tych monet naprawdę w pyte... znaczy, dużo ich miał. Nie jadł, nie pił, tylko podrzucał, podrzucał i podrzucał... Straszna śmierć.

– To niezwykle mało prawdopodobne – zauważyła Sonya, odstawiając opróżnioną butelkę na najbliższy stolik. – Tyle czasu rzucał i nie wypadł mu orzełek?

– To były funty.

– Eee... a co z tym ciśnieniem na turbinie? – niespodziewanie zmieniła temat. – Czy spadek ciśnienia jest niebezpieczny?

Kapitan zerknął w stronę baru i napotkał wzrok Wilkinsona. Zazgrzytał zębami i znów przesunął się tak, by zasłonić tamtemu Sonyę. A nuż Pierwszy nie zorientował się jeszcze, że baba jest z czwartej grupy?

– Turbiny napędzają śmigła, które trzymają nas blisko ziemi – wyjaśnił. – Jeśli zawiodą, zaczniemy się unosić i wreszcie odlecimy w przestrzeń kosmiczną.

– Czy wtedy wszyscy zginiemy? – zapytał, najwyraźniej przysłuchujący się rozmowie, koleś w skórzanej kamizelce obwieszonej masą metalowych znaczków z poprzednich konferencji. Miał włosy związane w kucyk i niezdrową cerę.

– Są jeszcze ćpadochrony w postaci plecaków z litego ćmetal – wyjaśnił uprzejmie kapitan. – Ale ich użycie nie będzie konieczne. Jest wiele zabezpieczeń. Ćppeliny konferencyjne podlegają ścisłym rygorom.

– Ten ćppelin wygląda mi na niedawno przerobiony z transportowca – ciągnął kamizelkowiec.

– Podobieństwo wynika... z podobieństwa.

Kapitan poprowadził Sonyę w odległą część sali, ale Wilkinson już wywęszył trop i zbliżał się z nową butelką piwa dla damy z czwartej grupy.

– Witam – zaczął z szarmanckim uśmiechem, gapiąc się w dekolt blond piękności.

– Dzięki, przyjacielu. – Kapitan wyjął butelkę z rąk zaskoczonego Pierwszego. – Szkoda, że nie pomyślałeś też o damie, która jest naszym gościem. No, ale nic, zajmę się nią, a ty napraw swój błąd.

Nie czekając na nic ani nie oglądając się, znów powiódł ją w inny rejon sali. Niebezpieczeństwo zostało przesunięte o jakiś kwadrans, bo tyle prawdopodobnie zajmie Pierwszemu zdobycie piwa. Barmana udawał sygnalista, który z pewnością poległby na stanowisku, gdyby nie to, że wszyscy zamawiali wyłącznie piwo. A i tak sobie nie radził.

Sonya znów opatrnie zrozumiała przemieszczenie się w zaciszny kącik sali. Przejechała palcem po błyszczących guzikach kapitańskiego munduru. W dłoni trzymała nowe, zgarnięte gdzieś po drodze, piwo.

– Ten mechanik to chyba nas, znaczy pana, panie kapitanie, tu nie znajdzie – wyszeptła, bawiąc się broszą na jego piersi.

Spokojnie, tylko spokojnie, pomyślał Hackworth cofając się o krok. No, o pół kroku. Nie czas na zabawę.

– To, czym się pani teraz bawi, to bardzo ważny element naszego systemu komunikacji wewnętrznej. Każdy członek załogi może przekazać informację we wszystkie zakamarki statku, jeśli tylko dochodzą tam przewody wzywacza. – Kapitan kątem oka dostrzegł, że kamizelkowiec rozmawia z kolejnymi

konferencjuszami, a ci zerkają teraz na niego ukradkiem. Zapewne wzmianka o spadku ciśnienia nieco ich zaniepokoiła. – W kluczowych miejscach są umieszczone gwizdki, które wkłada się w końcówkę rury i dmucha. Dźwięk rozchodzi się po całym statku, niesłyszalny dla ucha, i wprawia w drgania ten oto kryształ. – Potarł broszę. Sonya słuchała, zafascynowana. – Najważniejsi członkowie załogi noszą takie kryształy, zestrojone z odpowiednimi gwizdkami. Tak więc kiedy ten nicpoń będzie chciał mi przekazać kolejną informację o stanie turbiny, skorzysta z tego sposobu...

– Kapitan proszony w pilnej sprawie do maszynowni – rozległo się z tuby nad barem.

– ... jeżeli będzie miał dość oleju w głowie, by nie użyć megafonów – wolno dokończył kapitan. Teraz patrzyła na niego już większość konferencjuszy. Zaciszny kąć sali nagle przestał być zaciszny. – Niestety, pani wybaczy, muszę panią na chwilę opuścić.

Wymknął się bocznym wejściem i dudniąc obcasami o blachy korytarzy, podążył do maszynowni. Tutaj nikt nie próbował dekorować, zaślaniać ani udawać. Niedostępne dla gości bebeczy ćepelina wyglądały jak dawniej, wraz ze zwykłymi śmieciami na podłodze i ujemno masowymi ćmeciami na suficie.

Maszynownia za to wyglądała tak, jak zwykle wyglądają maszynownie na ćepelinach - gąszcz syczących rur, zbiorników, zaworów i zegarów.

– Chyba trochę przesadzacie z tą niedyskrecją – rzucił gniewnie od progu kapitan.

Postukał w szybkę głównego manometru. Wskazówka leżała blisko minimum. Adams, główny mechanik, tylko wrzusił ramionami. Prawie nigdy się nie odzywał, a jak już się odezwał, to lepiej żeby milczał.

Przemówił pomocnik:

– Nie chodzi teraz o ciśnienie. Zauważyliśmy Płaszczaka, jak ścierał kurz ze wspornika w przedniej ładowni. Teraz zęzą przemieszcza się na rufę. Wciąż, skurczybyk, czyści elementy.

– Pokaż no mi tego huncwota.

Sawyer wyjął z drewnianej skrzyni monitor, przypominający duży lejek zasłonięty z szerszej strony mlecznym szkłem przynitowanym na obwodzie do chromowanej osłony, i podszedł do baterii kilkunastu końcówek wizjociągów. Kable z cienkich szklanych pręcików były sztywne, a producent zdecydowanie odradzał ich nazbyt częste zginanie. Musiały więc spoczywać w żeliwnych uchwytach. Wszystkie zbiegały się w maszynowni, pomyślanej dawno temu jako ostatni bastion, gdyby ktoś przemocą wdarł się na statek. Chłopak przemieszczał się z monitorem od złącza do złącza i wpychał na chwilę jego końcówkę w gniazdo wizjociągu. Kiedyś monitorów było więcej, ale się wytlukły.

– Jest! – Sawyer wskazał monitor i poruszył ozdobnymi gałkami po obu jego stronach. Ciężna w pancerzykach biegnęła wzdłuż wizjociągów i w skromnym zakresie umożliwiały poruszanie obiektywem na drugim ich końcu.

Jakość obrazu nie była szczególna, bo i wizjociąg zawierał jedynie tysiąc pręcików. To jakby patrzeć oczami niedorozwiniętej muchy. Jednak Płaszczak był doskonale widoczny. Miękką ściereczką pucował stalowe żebro, do którego mógł dosięgnąć z pomostu przy zewnętrznym poszyciu. Kapitan patrzył z niedowierzaniem.

– Co to ma, kurna, być? Społeczne czyszczenie ćepelinów? – Potarł brodę i nagle zrozumiał. – Szuka numeru seryjnego, menda!

Podszedł do zywacza, czyli zatkanego korkiem wylotu rury, a z gwizdków wiszących poniżej na łańcuszkach wybrał ten podpisany „Land”. Wetknął go w otwór i dmuchnął. Dźwięk pozostawał niesłyszalny, więc nie było jak sprawdzić, czy urządzenie działa.

– Zeszlifowaliśmy wszystkie numery – przypomniał szybko Sawyer.

– Co miesiąc gdzieś znajduje się nowy.

– No to w jeden wieczór niczego nie znajdzie.

– Nie kombinuj. Szablon gotowy?

Pomocnik mechanika westchnął, wyciągnął z zakamarków za obudową kotła wielką płachtę sztywnej tektury i z cierpiętniczą miną zajął się mozolnym wycinaniem. Zadudniły kroki i do maszynowni wszedł bosman.

– Szefie... serze, jestem.

Hackworth bez słowa pokazał mu monitor, na którym rozpikslowana postać w płaszczu przemieszczała się zakamarkami ćepelina, ścierając przedwieczny brud.

– Mamy sprzątacza? – zapytał z nadzieją Land.

– Nie, idioto. On szuka numeru seryjnego. Nie zapłaciliśmy za ten statek. Pamiętasz?

Faktura z huty „Neptun, Posejdon i Synowie” wisiała oprawiona na honorowym miejscu w kapitańskiej kajucie. Termin płatności upłynął ponad dwadzieścia lat temu.

– Jest przedawniona – przypomniał bosman. – Od osiemnastu lat. Przecież robimy kilkudniowe popijawy

z ruskimi dziwkami w każdą rocznicę tego przedawnienia.

– A może, skoro nie mogą odzyskać pieniędzy, to chcą się zemścić? – zastanowił się kapitan.

– Hutnicy nie są mściwi.

– Więc wynajęli mściciela.

– Hutniczy mściciel? – Land podrapał się w głowę. – Wyrzucimy go za burtę. Jest chudy, słaby. Te ramionka...

– A jeśli ma współnika? Przypominam ci, że właśnie wychodzimy z szarej strefy, a morderstwo na pokładzie to bardzo zły początek.

– Myślałem, że my wchodzimy do szarej strefy. Z czarnej.

– Jak zwał, tak zwał. Grunt, że w stronę światła. – Kapitan już nie gładził, tylko szarpał brodę. – Pokaż mi salę balową!

Sawyer przepiął monitor do innej wiązki.

– Dziwni ci konferencjusze – mruknął kapitan. – Przygotowaliśmy im kilka sal tematycznych. Powinni konferować, dyskutować, panelować, konkursować, a ja tu widzę jedynie wielką popijawę. Podejrzane.

– Ci filateliści się tak nie zachowywali – przyznał bosman, który tydzień temu wkrecił się na przespiegę na inną konferencję. – Oni nawet piwa nie pili, żeby tych swoich znaczków nie obcharchać.

Kapitan zastanawiał się, szarpiąc coraz mocniej brodę. W podjęciu decyzji pomógł mu widok trzech czerwonych pixeli, które na pewno były Sonyą w towarzystwie czterech białych pixeli, które, bez jakichkolwiek wątpliwości, były Wilkinsonem.

– Płaszczaka nie mordujemy – zdecydował. – Nikogo dziś nie mordujemy, zmieniamy metody pracy. Doprowadźcie gada uprzejmie do części dla gości i walnijcie mu gadkę o bezpieczeństwie. Trzymamy się planu. Obserwujcie wszystkich.

Rzucił jeszcze okiem na drgające wskazówki manometrów na przewodach odchodzących od kotła i wyszedł.

* * *

Gdy wpadł do sali balowej, od razu zorientował się, że przecież sam zachowuje się mało dyskretnie. Ujrzał kilkanaście wpatrzonych w siebie par oczu. Plotka o spadku ciśnienia już się rozeszła.

Moda na konferowanie lotnicze pojawiła się, gdy tylko konferowanie lotnicze stało się możliwe. Okazało się to bardzo wygodne dla organizatorów, bo towarzystwo nie rozpełzało się po okolicy. Było to przecież awykonalne na wysokości tysiąca stóp. Jednak ta impreza burzyła wszystko, co kapitan William Hackworth wiedział na temat konferowania lotniczego. Tu nawet nie dało się rozpoznać organizatorów. Wszyscy pili po równo. To było naprawdę mocno podejrzane i zagrażało realizacji planu. Postanowił udawać, że niczego nie zauważa. Podeszedł do baru, gdzie akurat zrobiło się nieco luźniej, i zamówił whisky z lodem. Dostał piwo w butelce. Widząc rozbiegany wzrok sygnalisty, to jest barmana, zrezygnował z reklamacji. Zamiast tego pospieszył na poszukiwana Wilkinsona. Obszedł salę, nadal udając, że nie zauważa tych wszystkich spojrzeń. Dopiero po chwili pomyślał, że konferencjusze w jego zaniepokojeniu widzą potwierdzenie swoich własnych lęków. Nie miał jednak czasu się nad tym zastanowić, ujrzał bowiem rąbek czerwonej sukni wystający zza filaru.

Dotarł tam w kilku szybkich krokach.

– Ciśnienie spada tylko i wyłącznie na turbinie, droga Sonyu – bulgotał Pierwszy z twarzą zagłębioną w bujny dekolt czerwonej piękności typu czwartego.

Kapitan powstrzymał się przed chwyceniem oficera za kołnierz. Złapał się na tym, że źródłem jego złości niekoniecznie jest obawa o powodzenie planu.

– Co tu się wyprawia, panie Wilkinson?! – wykrzyknął z oburzeniem. Oburzenie wyszło mu raczej sztucznie, bo takiego mniej więcej widoku się spodziewał.

Pierwszy wyprostował się i spojrzał na Hackwortha raczej ze złością niż z szacunkiem wynikającym z hierarchii.

– Rozmawiamy. – Wzruszył ramionami, bynajmniej nie zmieszany.

– Pomyliłeś kobiece organy słuchowe z laktatorami progenitalnymi. – Kapitan zamilkł, zorientował się bowiem, że gada głupoty.

– Tłumaczyłem naszemu gościowi... o przepraszam! – Spojrzał na uśmiechniętą skromnie i rozpaloną nieskromnie kobietę. – Naszemu pięknemu gościowi, naszej pięknej gościowie właściwie, na czym polega problem z ciśnieniem.

– Więc może dla odmiany sprawdź, czy cię nie ma na mostku.

Wilkinson zacisnął usta w niemej złości, ale szybko znalazł rozwiązanie.

– A może nasza piękna gościowa pragnie zwiedzić mostek? – zapytał szarmancko.

Drzwi niedaleko nich otworzyły się z hukiem.

– Do części służbowej gościom, kurna, wstęp wzbroniony! – ryknął bosman Land, ciskając chuderlawym Płaszczakiem o dywan. – Wymogi bezpieczeństwa.

– Miało być uprzejmie – jęknął z rezygnacją kapitan.

Na sali zrobiło się cicho.

– Chyba odpuszczę sobie zwiedzanie mostku – powiedziała wybita z nastroju Sonya.

Płaszczak zerwał się i bez słowa skargi wtopił w szemrający tłum, co tylko potwierdzało, że ma coś na sumieniu. Pierwszy zmierzył kapitana nieprzyjaznym wzrokiem i z ostentacyjnie podniesioną brodą wyszedł z sali. Hackworth przełknął tę drobną zniewagę bez komentarza i odwrócił się do blond piękności, by załagodzić sytuację. Dziewczyny jednak nie było. Wygonił z sali Landa, wrócił do baru i odstawił nietkniętą butelkę piwa, która od razu znalazła nowego właściciela. Powiódł wzrokiem po konferencjuszach. Dyskutowali, zerkając w jego stronę. Niepokój narastał, a krążący od grupki do grupki Płaszczak, zdaje się, tylko go podkręcał. Czerwona suknia gdzieś tam musiała być.

– Jakie jest pańskie zdanie o dieselpunku? – Usłyszał tuż obok siebie. To znów ten koleś w skórzanej kamizelce. Dziad konferencyjny, gaźnik jego mać!

– Nie wiem, nie czytałem, nie orientuję się. Nie znam ani jednego autora.

Hackworth przemieścił się o dwa stołki dalej, ale kamizelkowiec nie zamierzał odpuścić.

– Jeden z nich, niejaki Neil Boeing, w swojej najnowszej powieści Spalinowy wiek opisuje wynalazek zwany aeroflotem. Aeroflot miał być wykonany ze zwykłego cięższego od powietrza metalu i wprawiany w ruch motorami napędzanymi rafinowanym olejem skalnym. Osobliwej natury zawirowania powietrzne wokół skrzydeł miałyby go utrzymywać na wysokości.

– Cóż za absurdalny pomysł, marnować takie ilości energii do podnoszenia ciężkich przedmiotów! – odparł kapitan, wodząc wzrokiem po sali.

– Ujemna masa wiąże się z wieloma paradoksami fizycznymi, związanymi choćby z nadbezwładnością. Pchnięty ómetal oddala się z większą prędkością, niż by to wynikało z newtonowskiej zasady zachowania masy. To trochę ryzykowne, prawda?

– Dlatego też HMS „Drake”, jak i każdy inny ćepppelin, został wykonany z elementów metalowych i ómetalowych.

Kapitan doskonale zdawał sobie sprawę z problemów z tym związanych. W pierwszych ćepppelinach balon z grubościennego ómetal unosił gondolę ze zwykłego metalu. Powodowało to niestabilność pojazdu podczas bocznych podmuchów i wibracje, bo pchany wiatrem ómetal rozpędzał się bardziej, niż wynikałoby to z ciśnienia wiatru, i w rezultacie napotykał opór powietrza po zawietrznej. To z kolei powodowało efekt odbicia i szarpnięcie pod wiatr. Wibracje były nawet przyczyną kilku katastrof. Rozwiązaniem okazało się umieszczenie duszy ómetalowej w amortyzowanym łożu i obudowanie jej tradycyjnym metalem.

– ... mniej istotne „jak”, bardziej istotne „że” – dokończył kamizelkowiec, a kapitan zdał sobie sprawę, że nie usłyszał, czego miały dotyczyć „że” i „jak”.

– Że jak? – zapytał.

– Jeśli ciśnienie na turbinie spadnie bardziej, będzie za późno na użycie ćpadochronów – wyjaśnił cierpliwie tamten. Wyjął z kieszeni kamizelki cud techniki i sztuki jubilerskiej zegarek-cebulę na łańcuszku. – Jesteśmy na wysokości sześciu tysięcy stóp. – Zegarek nie był zegarkiem, lecz wysokościomierzem. – To znacznie wyżej niż zwykłe pułapy ćepppelinów. W okolicach dziewięciu tysięcy standardowe ćpadochrony zawodzą i miast spadać, wynoszą swych użytkowników w kosmiczne przestrzenie. Czy muszę przypominać los pasażerów „Ćtanika”? Przez co lepsze teleskopy wciąż można oglądać ich zamrożone na kość ciała tuż powyżej granicy, umownej oczywiście, atmosfery. Nawet nazwano tę wysokość siedemdziesięciu mil ómentarzem czy też ósferą. Rodziny wciąż chcą ich sprowadzić na ziemię i rozmrozić.

– To były zamierzchłe czasy. – Kapitan machnął ręką. Kamizelkowiec coraz bardziej działał mu na nerwy. – Zabezpieczenia -

– A jednak nadal się wznosimy. – Facet kiwał głową, patrząc na cyferblat cebuli. – dwie stopy na każde pół minuty. Może pora odrzucić óbalast?

– A pan co w ogóle? Skąd pan się tu wziął?

– Z ĆORMO. – Wyciągnął legitymację. – Ćśnieniowa Organizacja Regulacji Metod Obliczeniowych.

– I co? – warknął kapitan. – Mandat mi pan wlepi?

– Mandatu nie mogę, ale pouczenie owszem.

Kapitan poczuł, jak rośnie mu prywatne organiczne ciśnienie tętnicze. Wokół zgromadziło się już kilkanaście osób.

– Ja ćertolę! – zacisnął pięści, po czym rozwarł je i zaczął się macać po kieszeniach w poszukiwaniu papierosów, których ćmienię go uspokajało. Znalazł wreszcie w jednej z kieszeni paczkę Ćmeli i wepchnął nadłamany papieros do ust. Z zapalniczką było gorzej. Palił na tyle rzadko, a zwykle to w ogóle cygaro, które odpalał od lampy naftowej, że nie pamiętał, w której ćeszeni (czyli kieszeni przeznaczonej dla przedmiotów wykonanych z ćmetal) ją ma. Kieszenie te były otwarte od dołu, by przedmioty o ujemnej masie nie odleciały w przestrzeń kosmiczną. Wreszcie wymacał zapalniczkę Ćppo i wydobył dwoma palcami, ćeszenie były bowiem bardzo nieergonomiczne. Zapalniczka wymusnęła mu się z dłoni i poszybowała w górę, by z ćmetalicznym ćmiałknićciem wyrznąć o sufit. Chyba połowa sali westchnęła, jakby zobaczyła oto symboliczne objawienie własnej przyszłości. Za sprawą szeptanej propagandy Płaszczaka, głośniejszej retoryki kamizelkowego dziada i fatalistycznej, wyzwalającej niedyskrecję personelu czwartogrupowości Soni wszyscy wiedzieli już o problemach maszyny parowej konferencjowca HMS „Drake”.

Katastrofa konferencyjna była więc już tylko kwestią czasu.

* * *

Kwadrans później ćepelin zabuwał się mocno, a wszyscy obecni w sali balowej odczuli to, co zwykle odczuwa się w ruszającej w górę windzie. Nic więcej nie było potrzebne – tłum, w żadnym razie nie porzucając jednak butelek, ruszył pospiesznie w stronę wyjścia. Kapitan chciał krzyknąć zwyczajowe „Kobiety i dzieci przodem”, ale przypomniał sobie o obowiązującym parytecie, zgodnie z którym mężczyzn, kobiet i dzieci powinno zginąć mniej więcej po równo, by nie narażać dowodzących akcją ratowniczą na proces o dyskryminację stereotypową (w razie czego wyjątki statystyczne trzeba będzie dobić). Krzyknął więc tylko „Do ćalup!” i odwrócił się na pięcie, by godnie dopiastować swoje stanowisko na mostku do końca.

– Ależ... każdy, kto opuści teraz statek, narazi na większe ryzyko tych, którzy pozostali na pokładzie! – Zaprotestował kamizelkowiec. – Przecież zmniejszy się masa, tym samym wzrośnie ćmasa, a więc i tempo odlotu!

Nikt jednak nie słuchał. Wskakiwano do ćalup, nie patrząc na nic, nawet na tabliczki znamionowe z wypisaną dopuszczalną liczbą pasażerów. Co prawda, przeciążone ćalupy pracowały lepiej od nieprzeciążonych. Jedyne nieuniknione (ale jakże pożądany) moment łupnićcia o ziemię zapowiadał się mniej przyjemnie.

* * *

Kapitan przez panoramiczne okna mostka obserwował ćalupy, które jedna po drugiej odcumowywały od kadłuba HMS „Drake” i opadały ku ziemi.

– Spoko jesser – mruknął Land. – Zaprogramowałem je porządnie. Wróć puste za kwadrans.

– Wygląda na to, że plan prawie się powiódł – kapitan po raz pierwszy od kilku godzin uśmiechnął się.

– Jaki plan? – rozległo się za ich plecami.

Obaj odwrócili się gwałtownie. W drzwiach stała czerwona Sonya z lokami w nieładzie, przekrzywionym kapelutkiem, poluzowanym gorsetem, przesuniętą tiurniurą i podwiniętym rąbkiem czerwonej sukni. Za nią Pierwszy wpychał koszulę w spodnie.

– Co, to już? – zapytał szczerze zdziwiony.

– Uwinęliśmy się w kwadransik, kotku. – Sonya odwróciła się i cmoknęła go w usta. – Zapnij mnie.

– Już zapiąłem... A, o kieckę ci chodzi – Pierwszy zaczął się szarpać z tasiemkami przy gorsecie.

– Wilkinson... – Hackworth oparł się o żyrokompas i przymknął oczy. – Wilkinson... Odprowadź panią do szalupy, zostały jeszcze dwie do wyboru, i wpadnij do maszynowni. Będę miał dla ciebie zadanie.

Skinął na bosmana i opuścili mostek. Pewne zasady jednak obowiązują. Nie morduje się kobiet z czwartej grupy.

W maszynowni kapitan pierwsze kroki skierował do wielkiego zaworu na wielkiej rurze. Zaparł się i zrobił nim pięć obrotów w prawo. Wskazówka głównego manometru uniosła się do pozycji oznaczonej zielono, a syk pary w rurach odchodzących od kotła wzmógł się do normalnego poziomu. Przez chwilę poczuli miłą lekkość, gdy ćepelin wyhamował wznoszenie.

– A więc to tak! – wykrzyknął Płaszczak, wychodząc zza grubego wspornika. Z cylindra kapą mu woda, ale on w euforycznym nastroju tego nie zauważał.

– Następny... – Kapitan pacnął się w czoło i pokręcił z rezygnacją głową. – Kim pan jest?

– Jestem emerytowanym hutnikiem – oznajmił z dumą. – Dorabiam sobie w dziale windykacji. I mam już pewność, co to za statek.

– Przecież usunęliśmy wszystkie numery seryjne – palnął Sawyer, zanim kapitan zdążył palnąć jego.

– Zapomnieliście o kiblach. Numery umieszczamy również po wewnętrznej stronie wrębka każdej muszli. To tłumaczyło, dlaczego Płaszczak ma mokry cylinder.

– Faktura jest przedawniona – wypalił po namyśle kapitan.

– Faktura jest przedawniona, ale statek formalnie nie został odebrany. Jest więc własnością huty „Neptun, Posejdon i Synowie”. Jej własnością są również zyski osiągnięte podczas eksploatacji statku. A osobistą satysfakcję sprawi mi wsadzenie was wszystkich do pułta!

– Więc jednak chcą się zemścić – odkrył Wilkinson, wchodząc do maszynowni.

– Mamy tu nagrane, jak gmera pan przy aparaturze. – Kapitan położył ciężką dłoń na reduktorze ciśnienia, na którym z pewnością nie można było niczego nagrać. Jednak mina Płaszczaka świadczyła, że tego nie wie. – Najpierw myszkował pan po wewnętrznych korytarzach statku, by dokonać sabotażu. Sabotaż się powiodł, a pan zajął się sianiem paniki wśród pasażerów. To też mamy nagrane. – Hackworth poklepał zawór bezpieczeństwa zbiornika pomocniczego. – Pańskim celem było oczywiście nadszarpnięcie dobrego imienia załogi HMS „Drake” lub nawet skatastrofowanie statku, który jest własnością huty „Neptun, Posejdon i Synowie”. To się nie spodoba pańskim szefom. Jedynie bohaterka postawa załogi, doprowadziła do ocalenia jednostki.

– Przecież pan odkręcił tylko jeden zawór – zaprotestował zupełnie zbity z tropu Płaszczak. – I zapewne wcześniej go pan zakręcił, żeby obniżyć ciśnienie.

– Ale o tym wiemy tylko my i pan. – Hackworth uśmiechnął się szeroko.

Płaszczak obliznął spierzchnięte wargi.

– Ha! – wykrzyknął nagle. – Ja też to wszystko nagrałem! – Poklepał się po kieszeni, z której wystawało pióro wieczne, na które z pewnością niczego nie można było nagrać.

Kapitan wyjął mu pióro z kieszeni i włożył do własnej.

– Przepraszam przyjęte – oświadczył łaskawie. – A teraz zapraszam pana do ostatniej szalupy.

– A jeśli... – Płaszczak zebrał się na desperacki akt odwagi. – A jeśli odmówię?

– Wówczas zaproszę pana do ekspresowej drogi ewakuacyjnej, bez szalupy. Nikt jeszcze nie wrócił z reklamacją, ale osobiście nie polecam. Dziś nie mam nastroju na mordowanie i niech pan nie próbuje tego zmieniać. Ufam, że zachowa pan dyskrecję, bo jeśli nie, wszystko ujawnimy... – Poklepał znacząco reduktor ciśnienia. – Land, odprowadź pana.

– Zemsta hutnika się nie powiodła – zatarł dłonie Sawyer.

– Co z szablonem? – zareagował błyskawicznie kapitan.

– Gotowy! – odparł pomocnik mechanika, dumnie przeżąc pierś.

Brosza kapitana zaświergotała. Podszedł więc do komunikatora i wyciągnął korek.

– Czego? – warknął.

– Kapitanie, jesser – wykrzyknął z drugiej strony sygnalista. – Nadają z Hawkhill. Mamy nowe zlecenie, jeśli się pospieszymy.

– Teraz? W środku nocy? – Kapitan był szczerze zaskoczony. Plan przewidywał pozbycie się gości tak, by rano zabrać następnych, zainkasować pieniądze i znów się ich pozbyć, udając awarię maszyny parowej. Bez większego wysiłku można było w ten sposób w tydzień obskoczyć siedem wielodniowych w założeniu konferencji.

– Jest tylko mały zonk... zonczek właściwie... – Sygnalista zawiesił głos. – To ci sami, których dopiero co wywaliliśmy.

– To jest poważny zonk, kurde! – wykrzyknął kapitan. – Zonczysko nawet. – Zamyślił się, nawijając na palec kosmyk brody. – A, co tam! Nie zorientują się. To pacany. Nadaj, że się zgadzamy.

Zatkał komunikator i otworzył szafkę z farbami, czekającymi już na ten etap realizacji planu.

– Ty szybko przemaaluj recepcję na żółto. – Wręczył Adamsowi puszkę z żółtą farbą i petardę. – A najważniejszą przemaalowywaną musimy wykonać tradycyjnie, pędzlem.

Sawyer opuścił smętnie ramiona i westchnął. Wyjął zza skraplacza wielki szablon z wyciętymi literami i ruszył w stronę szafki. Kapitan jednak zatrzymał go mocnym ramieniem i wyszczerzył się w uśmiechu, który nie wróżył niczego dobrego.

– Ta praca wymaga doświadczenia i precyzji. – Uniósł wielką białą puchę i zważył ją w dłoni. –

Zmazanie starej nazwy na burcie i namalowanie nowej to bardzo odpowiedzialne i niebezpieczne zadanie i dlatego musi je wykonać ktoś o wyższych kwalifikacjach. Wilkinson, przebieraj się.

* * *

Było już grubo po północy, gdy nad tętniącym wciąż zabawą Hawkhill zaczął zniżać lot obły ceppelin z błyszczącym nowością napisem na burcie „HMS Primavera”.

Lądek Zdrój 2009